

Ósmy dzień tygodnia

1

— Nie — powiedziała Agnieszka. Odsunęła stanowczo jego rękę i obciągnęła sukienkę. — Nie teraz.

— Jak chcesz — mruknął mężczyzna. Położył się obok niej na trawie i patrzył na drugi brzeg Wisły. Środkiem rzeki śmieszny holownik z wysiłkiem ciągnął trzy ciężkie barki; jego silnik pracował tak samo ciężko jak serce starego człowieka. Nadchodził wieczór i chłód tężał jak mleko. Drzewa ciemniały. Mężczyzna leżał nieruchomo aż do chwili, kiedy poczuł na głowie dłoń Agnieszki.

— Pietrek — rzekła cicho. — Ja nie chcę, żeby to wszystko było ot tak na grandę. Gdybym cię nie kochała, może byłoby mi wszystko jedno. Tu mogą nadejść ludzie. Nie chcę, żeby w moją najlepszą sprawę inni wchodzili butami. Musisz mnie zrozumieć. Jeśli jest czego naprawdę bronić, to chyba właśnie tego.

Podniósł się na łokciach i uniósł twarz do góry. Musiała przymknąć oczy; jego młoda, dziecinnie jeszcze czysta twarz ścięta była bólem.

— Agnieszka — powiedział czy ty wiesz, jak strasznie jest prosić o takie rzeczy? Czy ty wiesz, co to jest czekać?

— Ja też czekam.

Uchwycił jej rękę. Oczy jego były teraz blisko: ciemne i skupione.

— Jak długo będziemy jeszcze czekać? To udręka.

— Musimy czekać — powiedziała odwracając głowę; holownik już zapadł w mgły. — Może uda nam się dostać jakieś mieszkanie? W lecie możemy razem wyjechać... Chcesz się spotykać po jakichś pokoikach lub na ławkach w parku?

— Nie.

Umilkli. Nad ich głowami niebo stawało się złote; złota była również rzeka. Rosa kropliła się już na trawie i Agnieszka drżała z chłodu mimo skórzanej kurtki, na której siedzieli. Sąsiedni brzeg zgasł.

— Ja kłamię — powiedziała nagle Agnieszka i w głosie jej wyczuł mękę. — Ja już też nie mogę czekać. Wszystko mi jedno. Postaraj się tylko a jakiś pokój, o jakieś mury. Aby nie tutaj, aby z daleka od ludzi. Rozumiesz?

— Tak — szepnął. Dotknął jej dłoni: była bardzo chłodna i zamknięta jak muszla. Westchnął i rzekł: — Chodźmy już. Noc.

Podnieśli się; przez cały bielański las szli w milczeniu i dopiero przy pętli tramwajowej powiedział do Agnieszki:

— Pogadam z Romanem, on ma pokój. Nich sobie znajdzie inny lokal na jedną noc.

“Pogadasz z Romanem — pomyślała. — Wiem, co mu powiesz. Nie powiesz mu przecież, że mnie kochasz i że ja ciebie Kocham. Powiesz mu tak: «Ty, Roman, ja mam dziewczynę, którą muszę załatwić. Pożycz murów na jedną noc». A on ciebie zapyta: «Ładna jest chociaż?». Ty wtedy skrzywisz się, zmrużysz oko i powiesz: «Czy ja wiem? Teraz nie jest sezon, więc co zrobić». Nie przyznasz się mu do niczego, bo przecież też bronić chcesz tej sprawy. A potem powiecie jeszcze kilka świństw o kobietach, których mieliście żalownie mało i o których nic zupełnie nie wiecie...”

W tramwaju było zaledwie kilka osób: dwie stare baby, żołnierz o smutnej twarzy, paru wyrostków z piłką. Oświetlone domy uciekały w ciemność. Agnieszka uśmiechnęła się i przytuliła do Pietrka.

— Dobrze, kochany — rzekła. — Porozmawiaj z Romanem.

— Co dzisiaj mamy? — rzekł w zamyśleniu. — Czwartek?

— Tak, czwartek.

— Poproszę go — rzekł — aby wyjechał sobie gdzieś z soboty na niedzielę. —

Przytknął usta do jej ucha: — Trzymaj się, Agnieszka.

— Tramwaj zahamował. Konduktor uniósł wzrok znad okularów i powiedział przez nos: — Trasa... — Pietrek uścisnął rękę Agnieszki i wyskoczył. Popatrzyła za nim: był szczupły i giętki jak leszczyna. Głowę nosił pochyloną. “Czemu on się tak garbi? — pomyślała. — Boże, gdyby on jednak z nim nie rozmawiał”. Po chwili zmieszał się z wieczornym tłumem i straciła go z oczu. Nad miastem przecierały się dopiero pierwsze gwiazdy; tylko na samym środku nieba, spokojnie i pewnie, płonął Wielki Krzyż.

— Targowa — powiedział konduktor. Podniosła kołnierz płaszcza: zaczął padać ciepły deszcz. Przed nią szło dwóch mężczyzn w roboczych ubraniach. Jeden z nich zaklął i powiedział do drugiego: — Znów leje. Już dawno nie pamiętam, żeby był taki paskudny maj. Nie można nawet podskoczyć w krzaki. — Z kim? — powiedział drugi. — Z teściową chyba. Masz forszę? — Kiedy Agnieszka przechodziła obok nich, trącił ją ramieniem i powiedział: — Z nią byś podskoczył? — Obojętnie — powiedział pierwszy — ale ona takim jak my nie daje. — Może ją przygadamy? — zaproponował drugi. Krzyknął: — Proszę pani, pójdę z tobą...

Wyśmiała ich; skręciła w Brzeską. W mętnych kręgach latarni zataczali się pijani. Z baru “Schron u Marynarza” wyrzucono pijanego awanturnika; pojechał twarzą po bruku; za chwilę wyleciała za nim teczka i kapelusz. W bramach stały grupki milczących gapiów; jakiś

głośnik ryczał donośnym basem: “Dzisiejszy etap zakończył się porażką drużyny polskiej. Zwycięzcą etapu był Rumun Dumitrescu...”. Śmierdziały gnijące odpadki jarzyn z bazaru. Ktoś śpiewał piskliwym tenorem. Jakiś wyrostek zajął Agnieszce w twarz i gwizdnął. Ktoś drugi powiedział tęsknie: — Chryste, ta by się pruć jak koronka... — Koty wałęsały się pod nogami; zza mgieł nie było widać już gwiazd. Jakiś pijak szepnął jej gorąco do ucha: “Stara wyjechała, mam lokal. Dam ci nylonięta. Chcesz?” Na Dworcu Wschodnim wyły lokomotywy; wilgotne powietrze z trudem parło do płuc; ludzie mieli spocone twarze i zmętniały oczy.

“Porozmawiaj z nim — pomyślała Agnieszka. — Porozmawiaj z nim jak najprędzej”.

1956